

GERDA WEISSMANN KLEIN

GERDA WEISSMANN KLEIN

WSZYSTKO ZA ŻYCIE

# WSZYSTKO ZA ŻYCIE

Niewiarygodna historia polskiej Żydówki, która przeżyła Zagładę

Wszystko za życie to niezapomniana historia sześćioletniej gehenny Gerdy Weissmann Klein, ofiary nazistowskiego okrucieństwa – od dzieciństwa w rodzinnym domu w polskim Bielsku po wręcz cudowne ocalenie i wyzwolenie przez amerykańskich żołnierzy w czeskich Volarach. Gerda zabiera czytelnika w przerażającą, lecz przepętniającą nadzieją podróż.

Błoga, idylliczna młodość nastoletniej Gerdy legła w gruzach, gdy we wrześniu 1939 roku naziści wkroczyli do Polski. Choć najeźdźcy przez pewien czas pozwalali Weissmannom żyć w piwnicy ich domu, ostatecznie rozdzielili rodzinę i wywieźli jej członków do niemieckich obozów pracy. W ciągu kolejnych kilku lat Gerda została pozbawiona wszystkiego poza życiem. Nim wojna dobiegła końca, straciła rodziców, brata, dom, dobytek i wszystko, co było jej drogą.

Na przekór koszmarnym przejściom młoda kobieta nie straciła hartu ducha i wiary w człowieczeństwo. W mrokach niemieckich obozów wraz z przyjaciółkami zdołała zbudować wspólnotę, opartą na miłości i braterstwie. Chociaż naziści okradli je z istoty młodości i życia, udało im się przetrwać barbarzyństwo dręczycieli. Piękna opowieść Gerdy niesie bezcenny przekaz dla każdego z nas. Opowiada o strasznej połodze i krzywdzie ubiegłego stulecia, lecz daje też nadzieję, że z nienawiścią można wygrać.

Patroni:



MBP Cieszanów  
Wszystko za życie /  
0000028134

## Rozdział 12

Kolejny dzień maszerowałyśmy na zachód. Tego dnia skończył się nam chleb. Przestali nas liczyć. Stracili rachubę, ile dziewcząt zastrzelili i ile zmarło w nocy. Było mi zimno i byłam głodna, mróz doskwierał bardziej. W nocy poczułam, jak Ilse łapie mnie za rękę. Zdjęłam buty i owinęłam się wokół nich całym ciałem, bo bałam się, że mogą je ukraść. Wszędzie dookoła niósł się tłumiony płacz. Ja nie płakałam, ale to właśnie wtedy, w tych stodołach, przestałam się modlić. Przez te wszystkie lata zwracałam się do Boga żarliwie i z nadzieją. Ale przestałam. Nie rozumiałam dlaczego, bo przecież nigdy nie byłam bliżej Stwórcy. Dzielił mnie od niego tylko jeden krótki strzał... Chciałam żyć w zgodzie z Bogiem, ale nie potrafiłam się już modlić.

Później, znacznie później, zastanawiałam się nad moim sposobem modlitwy. Zaczęło się w szkole od przedstawienia o starożytnym Egipcie. Każda postać zmawiała modlitwę: potężny faraon modlił się o zwycięstwo, jego przeciwnik o swój sukces, chory mężczyzna o zdrowie, lekarz, żeby ludzie chorowali, i każda modlitwa wystrzeliwała prosto w górę, niczym biały ptak. W Niebie spotykała inną modlitwę, z prośbą o coś zupełnie przeciwnego. Staczały krwawy bój i zazwyczaj obie spadały na ziemię bez życia. Wiele dziewczynek grało w tym przedstawieniu. Uważałam, że przypadła mi piękna rola. Byłam biednym chłopcem, synem fellacha. Matka kazała mi się modlić, ale nie wiedziałam jak. Nie miałem żadnych życzeń, więc tylko spojrziałem na rzekę użyźniającą nasze pole, na jasne słońce, na dojrzałe owoce w naszym ogrodzie i powiedziałem: „Dziękuję ci, Boże, za ciepłe słońce, za błękitny Nil, za ojca i za matkę”, i moja modlitwa, podobnie jak pozostałe, pozęglowała wprost pod tron Pański. Nikt nie modlił się o nic przeciwnego, nikt za nic nie

dziękował Stwórcy. Wszyscy o coś Go prosili. Zwrócił więc swe oblicze na małego, bosego chłopca...

Miałam wtedy jakieś dwanaście lat. I od tego czasu zawsze dziękowałam Bogu za dary, którymi mnie obdarzał, a było ich bardzo wiele. Zawsze było za co dziękować, nawet w 1939 roku. Ale podczas tego marszu na mrozie, gdy głodne, wystraszone odpoczywałyśmy w lodowatych stodołach, nie mogłam się już modlić.

Czwartego dnia usłyszałyśmy ostrzał artyleryjski. Plotka głosiła, że Rosjanie szybko prą naprzód. Raz już myślałam, że prawie nas dogonili. Usłyszałam, jak dwaj esesmani rozmawiali o wysadzonych torach, i tak dowiedziałyśmy się, że mieli nas zawieźć pociągiem do obozu zagłady. Teraz musiałyśmy dotrzeć do niego pieszo.

Piątego ranka wiele esesmanek gdzieś zniknęło. Najwyraźniej nie miały ochoty dalej maszerować. Może chciały wrócić do domów.

Wojna ma się ku końcowi, ale podobnie nasze siły, myślałyśmy sobie. Już cztery dni szłyśmy bez jedzenia. Od opuszczenia Grünbergu minął ponad tydzień. To był lodowaty dzień. Ostry wiatr kąsał nas po twarzach. Przed przerwą w okolicach południa maszerowałyśmy dłużej niż zwykle, a gdy już spoczęłyśmy, chciałyśmy jak najprędzej ruszać dalej.

Tamtego popołudnia, gdy pokonywałyśmy zarośla, usłyszałyśmy strzały. Chwilę później wymierzył do mnie jeden z esesmanów.

– Chodź! – wrzasnął.

Wyszłam z szeregu. SS wyciągnęło jeszcze trzy inne dziewczęta. Usłyszałyśmy, że kolumna idzie dalej. Przestałam czuć śnieg smagający mnie po twarzy. Nie buntowałam się, moje serce wcale nie zaczęło dziko walić. Byłam spokojna. Dziwne, ale pomyślałam wtedy o pewnym zimowym dniu w domu, gdy moja ulubiona kotka Schmutzi przyniosła do kuchni kocięta, żeby ogrzać je przy piecu. Desperacko próbowałam sobie przypomnieć, jak nazwaliśmy te maluchy, ale nie potrafiłam. Po kilku krokach –

oddawałam się marzeniom tylko na moment – wyszliśmy na polankę. W śniegu leżały dwa trupy.

– Zanieście je do lasu – rozkazał esesman.

Czułam, że nie mam na to siły w rękach.

– Bierz za głowę – warknęła stojąca najbliżej dziewczyna.

Spojrzałam w twarz nieżywej dziewczyny. Nie znałam jej. Miała otwarte oczy. Podniosłam jej głowę. Śnieg pod spodem był czerwony. We dwie nie potrafiłyśmy jej unieść, więc zawlekłyśmy ją do lasu za ręce. Kiedy ją położyłyśmy, wyglądała jak żywa. Wzięłam trochę śniegu, żeby zmyć z dłoni jej krew. Nie widziałyśmy, co robiły pozostałe wybrane dziewczyny.

Esesman stał i palił papierosa. Pomyślałam, że teraz nasza kolej, ale on popędził nas z powrotem do kolumny. Gdy wróciłam, Ilse ulżyło. Złapałyśmy się za ręce bez słowa. Byłam w szoku.

Tamtego wieczoru szliśmy długo, bardzo długo, przechodziłyśmy przez maleńkie wsie. Gdzieś migotało światło. Z kominów leciał dym. Widziałyśmy kobiety szykujące kolację. Wszystko wyglądało tak przytulnie i ciepło!

Weszliśmy do miasteczka. Było już ciemno. Na ulicach nikogo. Poprowadzili nas na niskie wzgórze, na którym stał kościół. Wył wiatr. Esesmanki i ulubienice komendanta zakwaterowano w miasteczku. Trzej strażnicy, którzy nam wtedy towarzyszyli, kazali nam położyć się na zamarznętej ziemi przed kościołem. Wiatr przykrywał nas śniegiem. W kilka minut przykrył nas całkowicie. Przytuliłyśmy się z Ilse mocno, próbowałyśmy się wzajemnie ogrzać.

Górował nad nami niemy kościół, w godzinie naszego nie szczęścia nie były nawet dzwony. Pewnie je już przetopili na piski.

– Tak mi zimno – zaszczękała zębami Ilse.

Przywarłyśmy do siebie policzkami, ale śnieg nie topniał nawet na naszych twarzach.

Pomyślałam o tej dziewczynie, którą zawlekłam do lasu. Do tego czasu zima urządziła jej już przyzwoity pochówek.

– Ilse – powiedziałam.

Chyba mnie nie słyszała. Przypomniałam sobie świecąca delikatnie lampkę przy żółtej zastonie w moim pokoju dziecięcym. Niania czytała mi historię dziewczynki z zapałkami. Prawie słyszałam jej ciepły głos: „I mała dziewczynka z zapałkami uśmiechnęła się, i nie czuła więcej zimna...”.

– Ilse! – Potrząsnęłam nią.

– Daj mi spokój!

– Ilse! – krzyknęłam. – Obudź się. Nie będziesz spała!

Rozbudziła się. Potarłam ją po twarzy, po sztywnych dłoniach. Zawołałam Suse i Liesel. Odpowiedziały. Puściłyśmy wieść, żeby nikt nie zasypiał. Esesmani przestępowali z nogi na nogę i dmuchali w ręce. Kilka dziewczyn wstało.

– Leżeć! – krzyczeli strażnicy.

Robiłyśmy wszystko, co przychodziło nam do głowy, żeby tylko nie zasnąć i dodać sobie otuchy. W końcu przyszedł świt i wicher ustał. W szarym świetle poranka ujrzałyśmy wynędzniałe twarze i zapadnięte, wygłodzone oczy. Te z nas, które miały jeszcze siłę, zrzuciły śnieg z milczących, nieruchomych kopczyków: było wśród nas wiele dziewczynek z zapałkami.

– Ależ jesteśmy głupie! – zawołała Suse. – Wszystkie powinnyśmy zasnąć.

Mróz zelżał. Powietrze wydawało się cieplejsze. Byłyśmy spragnione i zaczęłyśmy jeść śnieg.

Po południu dotarliśmy do obozu Christianstadt [Krzystkowie – przyp. tłum.]. Wpuścili nas tam, umieścili w wielkiej sali i dali coś ciepłego do jedzenia. Nawet nie wiem, co to było, ale posiłek nigdy bardziej mnie nie ucieszył.

Wysuszyłyśmy odzież w ciepłym pomieszczeniu i większość z nas zaczęła się drapać. Wszy się za nas zabrały. Smak jedzenia i ciepło ponownie wlały w nas optymizm. Nie musiałyśmy sta-

wać do apelu. Zostawili nas w spokoju, dwa razy dziennie dawali jeść, byliśmy zadowolone. Wiedziałyśmy, że wojna prawie się skończyła.

Po trzech dniach w Christianstadt usłyszałyśmy, że musimy iść dalej. Ilse przestała panować nad emocjami. Nigdy jej takiej nie widziałam. Wcześniej zawsze umiałam wpływać na jej nastroje – wierzyła we mnie tak bardzo, że czasami aż mnie to krępowało – ale tym razem nie potrafiłam jej pomóc.

Znowu pomaszerowałyśmy na zachód, pierwszego wieczoru ulice i drogi były zapchane ludźmi, wszyscy podążali w tym samym kierunku. Uciekali przed Rosjanami – końmi, wózkami, rodzice nieśli dzieci w ramionach. Za plecami słyszałyśmy jednostajny ostrzał artyleryjski.

Wpadłam w euforię. Zbliża się! Koniec! Koło się zamyka. Niemcy już płacą za swoje zbrodnie.

Na widok uchodźców w mojej głowie na nowo rozgorzała nadzieja. Pierwszej nocy po opuszczeniu Christianstadt spałyśmy w kolejnej stodole. Rano kilka kolejnych dziewcząt już nie wstało.

Nazajutrz ujrzałyśmy następnych uchodźców. Poznałyśmy po mowie, że byli ze Śląska.

Zaczęłyśmy myśleć o ucieczce. Gdy maszerowaliśmy nocą, kilka dziewcząt wymknęło się pod osłoną mroku. Dowiedziałyśmy się z różnych źródeł, że niektórym się udało i znalazły schronienie u chłopów, inne znaleźli i rozstrzelali.

Nasza kolumna topniała. Została może połowa dziewcząt, które wyszły z Grünbergu. Byłyśmy na skraju wytrzymałości. Głos chłopki, która rozmawiała z towarzyszką w bielskim dialekcie, natchnął mnie do wspaniałego, jak uważałam, pomysłu, który od pewnego czasu chodził mi po głowie.

Wieczorem zdradziłam plan Ilse. Za dzień lub dwa znikniemy w lesie i przeczekamy w nim do nocy. Kiedy upewnimy się, że nasza kolumna opuściła okolicę, zerwiemy gwiazdy z ubrań. Nasze płaszcze były bardzo nędzne, ale liczyłyśmy, że moje buty

narciarskie zrobią odpowiednie wrażenie. W całym obozie nikt takich nie miał – nadawały się idealnie na tę porę roku. Przyszedł czas na najtrudniejszą, ale jak sądziłam i najważniejszą część planu. Udamy się na najbliższy posterunek policji. Bałyśmy się policji jak samej śmierci, ale postawiłam na ich świadomość naszego strachu. Uznałam, że w swej arogancji nie dopuszczą myśli, że Żydówki przetrwałyby w takich warunkach. Powiemy, że jesteśmy ewakuowanymi Ślązaczkami – obie z Ilse znałyśmy tamtejszą odmianę niemieckiego – i że poszukujemy schronienia dla matki i małego rodzeństwa (fakt posiadania licznej rodziny miał wzmocnić wrażenie naszej prawdomówności, bo przecież wszystkie dobre Niemki rodziły dla Führera wiele dzieci). Powiemy, że gdy wróciliśmy, nasza rodzina zniknęła.

Oczywiście padną pytania. Nasze dokumenty miała mama, trzymała je w torbie razem z pozostałymi cennymi rzeczami... Posłużymy się prawdziwymi imionami – Ilse i Gerda, brzmiały jak należy, po niemiecku. Zapytają, czy należałyśmy do BDM<sup>1</sup>. Ależ naturalnie, obie jesteśmy w Hitlerjugend. Zapamiętałam nawet numer jakiejś sekcji. Ojciec służy w Wehrmachcie. Jego numer? Nauczyłam się cwanego i pewnego sposobu zapamiętywania długich liczb: numer domu Ilse, numer mojego i rok wybuchu wojny – 56941939! Brzmiało imponująco i nie dało się zapomnieć. Powiemy, że ojciec bije się na froncie z Rosjanami.

Uważałam, że jeżeli same wejdziemy w paszczę lwa, to damy odpór pierwszym podejrzeniom. A poza tym, myślałam sobie, policja ma teraz na głowie wiele poważniejszych obowiązków i nie będzie wszczynać śledztwa w naszej sprawie. Starłam się przygotować jak najpełniejszy i jednocześnie najprostszy plan. Wiedziałam, że mogą przepytać nas osobno – nasze historyjki musiały się pokrywać. W Bolkenhain napisałam wiele spektakularnych przedstawień – to miał być mój największy występ.

<sup>1</sup> Bund Deutscher Mädel, czyli Związek Dziewcząt Niemieckich, żeńska część Hitlerjugend – przyp. tłum.

Miałam bolesną świadomość, że w moich rękach spocznie nie tylko moje własne życie, ale także Ilse.

A potem powiedziałam Suse i Liesel. Uznały plan za rozsądny i powiedziały, że urwą się z kolumny kilka dni później i przygotują podobną opowieść.

Ćwiczyłyśmy z Ilse całą noc.

– Ilse, tylko pamiętaj – powtarzałam – nie możemy się bać policji. Policjanci to nasi przyjaciele, Niemcy tacy jak my.

Minęły dwa dni, odkąd napotkałyśmy te śląskie chłopki. Jeżeli uciekniemy następnego, przeczekamy noc w lesie, a czwartego dnia pójdziemy na policję, na pewno będziemy bezpieczne. Zamierzałyśmy zbiec późnym popołudniem, więc w stodole ucałowałyśmy Suse i Liesel na do widzenia. Przez cały dzień byłam podekscytowana. Jak gdyby na moje życzenie, przerwę na odpoczynek ogłosili dopiero około szesnastej. Na śnieg padały już długie cienie.

– Doskonale – szepnęłam do Ilse. – Jak esesmani nie będą patrzyli, pędzimy do lasu.

Zerknęłam na Suse, nasze oczy się spotkały. Liesel przygryzała usta, jak zawsze w emocjonujących chwilach. Uniosłam brew, sygnal dla Ilse, żeby schowała się za drzewem. Popatrzyła na mnie wielkimi, wystraszonymi oczami. I złapała mnie za rękę.

– Gerda, nie teraz! – szepnęła. – Proszę, nie teraz! Boję się.

Ja do tej pory się nie bałam, podniecenie tłumilo mój strach. Wątpliwości wypłynęły na powierzchnię, dopiero gdy Ilse okazała lęk. A co, jeśli nasz plan nie pójdzie tak gładko? Wcześniej w ogóle nie dopuszczałam takiej możliwości. Wiedziałam, że wystarczy, że uciekniemy. Teraz zaczęłam się wahać. Decyzja nie należała tylko do mnie, życie Ilse było mi równie drogie jak własne. Spojrzałam na nią ponownie.

Chciałam syknąć „musimy iść”, ale usłyszałam jak wypowiadam:

– Może w nocy.

– Zbierać się! – rozbrzmiały głosy esesmanów.

Stałyśmy w gotowości do wymarszu przez kilka chwil. Wtem usłyszałyśmy z lasu krzyki i trwożne błagania. Trzech esesmanów wyłapało czternaście dziewcząt. Ustawili je przed nami w szeregu. Komendant wyciągnął pistolet. Dziewczęta krzyczały. Komendant strzelał raz, drugi i następny, a one upadały, jedna na drugą.

Zamknęłam oczy i ścisnęłam dłoń Ilse. Pomaszerowałyśmy. W tamtej chwili przyrzekłam sobie, że nigdy nie spróbuję ucieczki, że nie wezmę odpowiedzialności za czyjeś życie, że nie zejde ze ścieżki wiodącej ku śmierci.

Minął tydzień, dwa, może trzy. Straciłyśmy rachubę czasu. Mniej więcej co dwa dni dawali nam ciepłej zupy, jeśli akurat miało się szczęście i stało na początku kolejki, albo zimnej, jeśli było się dalej. Czasami nie starczało dla wszystkich.

Zwykle nocowałyśmy w stodołach. Pewnej nocy odpoczywałyśmy w zbombardowanym kościele i słuchałyśmy artylerii, która strzelała zarówno ze wschodu, jak i – nieco dalej – z zachodu. Cieszyłyśmy się, gdy znajdowałyśmy w stodołach kilka ziaren pszenicy albo owsa.

Wszędzie zostawiałyśmy za sobą martwe dziewczęta. Niektóre grzebałyśmy, inne po prostu porzucaliśmy. Setki miały odmrożone, zakrwawione, pokryte pęcherzami stopy. Widziałam, jak jedna oderwała sobie palce u stóp, niczym suche gałązki.

Pewnej nocy obudziłam się w stodole i poczułam, że jakaś dziewczyna mocno przygniata mi nogi. Zaprotestowałam. Ale ona ani drgnęła. Bolało mnie. Gniotła je swoim ciężarem. Próbowałam ją przepchnąć – zorientowałam się, że nie żyje. Pamiętałam ją jeszcze z Bolkenhain. Pracowała przy krośnie obok. Zapomniałam, jak miała na imię, ale pamiętam, jak przystawała przy krośnie, aby naprawić zerwane włókno – jak się uśmiechała, gdy nasze oczy się spotykały.

Jedna z dziewcząt zauważyła opartą o drzewo bańkę na mleko. Wyrwała się z szeregu, żeby zobaczyć, czy coś jest w środku. Esesman złapał ją za kark i rzucił na kolana. Widziałam, jak patrzyła przerażona, gdy ściągał karabin z ramienia.

– Litości! Litości! – błagała.

Kiedy wystrzelił, wyrzuciła ramiona do góry. W modlitwie czy z rozpacz? Esesman się odwrócił i odkopnął jej ciało na bok.

Przyglądałam się temu ze zgrozą. Żałowałam, że żyjemy.

Nad nami ryczały samoloty, w oddali słyszałyśmy karabiny maszynowe. Front był niedaleko, a jednak nie dość blisko. Ile szczęścia mieli żołnierze, mogli nosić broń! Śniłam, że nocą podkradam esesmanowi karabin i zabijam ich wszystkich. Ale to były tylko sny – nawet nie potrafiłam strzelać.

Dlaczego maszerowałyśmy? Dlaczego pozwalałyśmy im się mordować? Dlaczego nie próbowałyśmy walczyć? Co to za różnica, gdyby zabili kilka z nas? I tak umierałyśmy, a te, którym uda się przeżyć, i tak w końcu zabijają.

Nasza grupa skurczyła się do jednej czwartej pierwotnej liczebności. Czemu miałabym mieć nadzieję, myślałam sobie. Dlaczego ja miałam być wolna, skoro inne umarły? Dlaczego sądziłam, że to ja będę uprzywilejowana? Ale takie myśli były niebezpieczne. Trzymałam się nadziei. Musiałam wytrzymać do końca. Jeżeli tata, mama i Artur przeżyli, to będą na mnie czekać, też będą mieli nadzieję i będą się modlili. Nie mogłam ich zawieść.

„Bądź silna”, wyszeptał Artur prawie sześć lat wcześniej.

„Bądź silna”, przebił się przez zgłębienie głosu mamy, gdy zostawiałam ją w Bielsku.

Śnieg stopniał, zrobiło się cieplej. Prawie wiosennie. Od wielu kilometrów widziałyśmy drogowskazy na Drezno. Wielkie, piękne miasto – zapamiętałam z podręcznika do historii. Musiałyśmy przejść jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Grünbergu. Esesmani ewidentnie chcieli dotrzeć do miasta przed

zmrokiem. Robiło się ciemno, nieustannie przejeżdżały wielkie ciężarówki, które zmuszały nas do schodzenia na pobocze i spawalniały marsz.

Gdy zbliżyłyśmy się do przedmieść Drezna, usłyszałyśmy ostrzegawcze wycie syren i wkrótce na niebie zahuczały setki samolotów.

Stałyśmy na moście na Łabie, a esesmani obserwowali nas z brzegów. Pewnie uznali, że most stanie się celem, więc mogłoby łatwo się nas pozbyć.

Miałam wrażenie, że świat się kończy. Nad naszymi głowami ryczały potężne bombowce. Niebo i ziemia drżały. Budynki waliły się jak kostki domina. Ludzie wyli, niektórzy skakali z płomiennymi do lodowatej rzeki. Niemcy stanęły w obliczu ruiny.

Nie bałam się o życie, triumfalnie przyglądałam się zagładzie Drezna. A jednak czułam bolesną samotność. Nie pamiętam, ile trwał nalot i jak w końcu zeszyliśmy z tego mostu, pamiętam tylko to poczucie triumfu i samotność.

Minęła kolejna noc.

Łagodna aura utrzymywała się kilka dni, a my maszerowałyśmy dalej. Pewnego dnia, gdy przechodziłyśmy przez Freiberg, zobaczyłyśmy piękny dom z otwartymi oknami. W środku ktoś grał na fortepianie. Łagodna muzyka płynęła w powietrzu. Kiedy się zbliżyłyśmy, odgłosy naszych kroków ją zagłuszyły. Usłyszałam ją ponownie, dopiero gdy minęłyśmy dom.

Ułożyłam w głowie historyjkę do tej muzyki. Opowiadała o kimś, kto przez całe życie pielęgnował roślinę, ale ta nigdy nie zakwitła. Kwiat rozwinął się dopiero wtedy, gdy ten człowiek umarł.

Spojrzałam na Ilse. Płakała bezdźwięcznie – tak jak mama, kiedy po raz ostatni odprowadzałyśmy tatę na dworzec.